

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

Chciała go chwycić za ramię, ale odsunął ją szorstko od siebie:

— Byłem w domu — u siebie...

— W jakim domu?...

— W moim!... Dziecko mi zachorowało ciężko!... Krzyśka!... dyfterytu dostała!... Ledwie od-ratowali!... Byłaby umarła!... W gorączce bieda-ctwo tatusia wołało!... Jezu mój!... Jezu!...

Zakrył twarz rękami, grdyka poruszała mu się silnie. Stefa popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma:

— Także historye! — sarknęła — i dlatego ja muszę całą noc się niepokoić i z obiadem czekać!... A wiesz ty, co mi zrobił ten lajdak reżyser?...

Machnął ręką niedbale, zaznaczając w ten sposób, że go to mało obchodzi.

— Chodźże jeść obiad!...

— Nie! — potrząsnął głową — ja muszę wracać do niej... do mojej Krzyski!... Zresztą słuchaj — ciągnął dalej tak szybko, jakby chciał co najprędzej rzucić z siebie jakiś ciężar — ja ci powiem prawdę... My się musimy rozstać!...

— Co? Co? — Wszystkiego się spodziewała Stefa, tylko nie tego.

— Musimy się rozstać!... — powtórzył, usiłując nadać sobie ton pewności.

— Czyś oszalał?!

— Nie! ja tylko wróciłem do rozumu i sumienia!...

Stefa osłupiała formalnie. Co to jest? chyba to sen jakiś niedorzeczny... To Babel — ten niewolnik, tak bez zastrzeżeń władzy jej podległy, ośmiela się jawnie buntować?...

A on posepnie, nie patrząc na nią, ciągnął dalej:

— Tak mnie oczarowało, że o prawach Boskich i ludzkich zapomniałem... że się na po-smiewisko podałem i o mało ciężkiej pracy nie zmarnowałem... Pan Bóg chciał mnie za to pokarać... pokarać ciężko... ale jeszcze dał mi czas, żebym ze złej drogi zawrócił!...

Głos mu drgał wzruszeniem... Z każdego jego słowa, z każdego gestu biła przesadna chłopska skrucza — równie twarda, jak twardem było za-pamiętanie w grzechu.

Stefa tej zmiany psychicznej, zaszłej nagle w tym człowieku, pojął i wyłomaczyć sobie nie umiała, ale to zrozumiała, że go traci, że usuwa się jej z pod nóg jedyny grunt, na którym obecnie budować mogła świetne pałace swej marzonej przyszłości... Postanowiła rzucić się do swego niezawodnego środka łez, krzyków historycznych, spazmów... Głośno szlocha-jąc, padła na fotel:

— Ach!... ach!... — chwytając się za piersi, za skronie i płakała, płakała prawdziwie, wiel-kiemi łzami, wyciskaniem przez złość i obawę o to, co będzie...

Ooo!... — spazmowała.

Zawsze w takich wypadkach Babel rzucał się na kolana, obsypywał ją czułościami i pie-szczotami, przyrzekał wszystko, czego zechciała, i każda scena spazmów kończyła się zupełnym jego pogębieniem oraz jakimś kosztownym po-darunkiem. Tym razem miała się Stefa zawieść. Babel nie ruszył się nawet z miejsca, tylko ręką wsparł się o blat stolika, przy którym stał i rzekł:

— No skofczcie już raz, bo chcę pogadać z tobą na rozum...

To podziało na nią jak zimny tusz i zoryen-towało ją, że musiało zdarzyć się coś zgoła nie-zwykłego i że trzeba zastosować niecodzienne metody...

Przestała płakać wrzaskliwie, spazmatycznie i lkała już tylko cichutko, żałośnie, pochylając głowę na piersi jak skrzywdzone dziecko:

— I pomyśleć, że ja dla tego człowieka po-święciłam wszystko!... Matkę... karierę... dobrą opinię... — skarżyła się.

— Coś ty tam poświęciła!... Nędzę u matki i tego dyrektora, co ci nie chciał dawać tyle pieniędzy, ile ci potrzeba było? To ja... to ja poświęciłem... Boże! nie karz za moje winy dzie-cka mego!...

— Kochałam cię!... umrę!... zabiję się, jeśli mnie porzucisz!...

— O! tu masz kochanie twoje... To jest do-wód, a wiele takich innych... — rzucił jej na ko-

lana list, który niedawno pisała do Sternnagla, naznaczając mu schadzkę. List zaczynający się od słów: „Mój ukochany kudłaty psiaczku“, za-wierał mnóstwo błędów ortograficznych i moc namiętnych wyrażań.

— A czy to tylko ten żydziak?... Czy to ja nie wiem o innych?!... I to wszystko za moje pieniądze!... za moją krwawicę!... — zacisnął pięści.

— Nie wierz Antoś, nie wierz! to kłamstwo!... plotki!... obmowa!... oczernili mnie, żeby z tobą rozłączyć!... ja cię kocham!... ja ci byłem wier-na!... ja żyć bez ciebie nie mogę!...

Zerwała się z fotelu i ogarnęła go ramiona-mi, zasypując mu twarz falą jasnych, miękkich, pachnących włosów... Usta swoje przycisnęła do jego twarzy... Babel pobladł i zadrżał... Czuł, że go zaczyna niewolić znowu ten potężny czar zmysłowy, przez który Stefa władała nim... Prze-nikało go ciepło jej ciała... pieścił delikatny aksa-mit skóry... upajała woń włosów i perfum... Je-szcze chwila, a runie w otchłań żądz... grubej... pierwotnej... nieokiełznanej!...

Nagle z fotograficzną dokładnością na siat-kówce jego oczu odbiła się drobna twarzyczka, płonąca gorączką o zmętniałych modrych źreni-cach... Twarzyczka jego dziecka, które w tym momencie walczy może ze śmiercią...

— Boże! zlituj się!...

Odepchnął od siebie Stefkę, dysząc ciężko... — Odejdź!... ja poprzysiągłem tam przy łó-żku mojego dziecka... że za jego życie nie chcę cię więcej znać!...

Spoglądała na niego rozszerzonymi oczyma, napół przytomnie... Opuszczały ją już siły... Nie wiedziała co począć... wyczerpała cały swój roz-porządkalny arsenał... Wszystko chybiło celu... Może go zastraszyć!...

— Słuchaj ty!... — warknęła — ty tak ze mną nie igraj!... Jam nie pierwsza lepsza, żebyś so-bie tak mógł ze mną postępować!... Zobaczył ja cię do sądu zaskarżę!...

Spojrzał zdumiony:

— O co?!

— Żeś mnie uwiódł!... obiecałeś się żenić ze mną!...

— Nie dajże się wyśmiać!... Nibyś ty ty nie wiedziała, że ja mam żonę i dzieci!... A co się tyczy uwiedzenia, to lepiej, żebyś się daremnie nie *kompremitowała*.

— Cham!... parobek!...

— I tyś nie hrabianka!... Ale mniejsza o to!... Słuchaj, ja czasu nie mam, mnie do chorego dziecka spieszą!... napiszę ci list, jak wszystko ma być, bo dogadać się z tobą nie dogadam... Tylko tyle ci powiem, że od pierwszego mie-szkania i służące płacić nie będę!...

— Lajdaku!...

— A po meble ze salonu i z jadalni to przy-jdą, bo wypożyczone!... Sypialnię możesz sobie wziąć — a to także ciężkie „hopy“...

Chciał jeszcze coś mówić dłużej, ale sko-czyła ku niemu z zagiętymi drapieżnie palcami... Byłaby mu niezawodnie sięgnęła do oczu, ale zdołał umknąć w porę...

— — — — —

Łączkowa krytycznym spojrzeniem badała ele-ganckie, ale po większej części podniszczone toa-lety swej córki, które wyciągała z kufrów i jej batystową, koronkami i haftami zdobną bieliznę. Skrzywiła pogardliwie usta:

— Gałganki!... kosztowało pewnie Bóg wie ile, a co z tego?... Szmałki... Żyd by za to dzie-sięciu tysięcy nie dał!... Ty zresztą szanować nic nie umiesz... wszystko poplamione... podarte... zniszczone...

Stefa w ponsowym, jedwabnym, strojnym, ale przybrudzonego szlafroku leżała na starej, wy-gniecionej otomance i paliła papierosa... Jedną rękę zatopiwszy w nieuczesanych włosach, du-mała nad czymś głęboko, nie reagując zupełnie na gadanie matki.

— Stefa!...

— Co?...

— Popatrz się, w tej czarnej, aksamitnej su-kni dziura wypalona papierosem!... Że też ty po-szanować nie umiesz!...

— Niech mnie mama nie nudzi!...

— Aha!... nudzi!... nudzi!... matka nudzi!... A jakbyś matki była słuchała — inaczejby było!... A tak!... Coś zyskała?!... *dyfamację* na honorze pańskim i kupę lachmanów... O! futro mole zjadły!... taki śliczny „kawalek“.

Pokiwała żałośnie głową, nie przestając prze-

trząsać dalej zawartości dwóch wielkich kufrów i trzech waliz...

— Bielizna ładna, ale to wszystko cieniutkie, delikatne, w praniu rozłazi się... I do reszty — niechętnie, prawie ze wstrętem rzuciła w głąb kufru powiewne, wyłowne „dessous“ z jedwabnego różowego batystu — czy to dla przyzwoitej panny takie *firtlefancye*? Co innego, żebyś se była sprawiła porządne płóciennne koszule...

Stefa milczała, patrząc bezmyślnie w ścianę pomalowaną w niebieskie pasy i puszczając kółka dymu.

Matka podeszła do okna i otworzyła je.

— Ćmisz cały dzień te papierosiska, że od-dychać nie można!... Nie szkoda to pieniędzy?!

— Za swoje kupuję!... — warknęła Stefa — jeszcze mama do mnie grosza nie dołożyła!...

— A co będzie, jak pieniędzy zabraknie?... Sprzedaj te parę pierścionków, *perfumów* i poń-czoch jedwabnych nakupisz i już po pieniądzach... Znam ja cię...

— Niechże mama przestanie, bo ucieknę stąd!...

— Niby dokąd? Żebyś ty miała gdzie ucie-kać, nie przyzłabyś ty do matki!... Stefa!...

— No?...

— Słuchaj, dużo ty masz jeszcze pieniędzy?...

Stefa zerwała się i siadła na otomance po-turecku z podwinieciem pod siebie nogami.

— Nie!... doprawdy, że mama się już staje nie do zniesienia!... Wściec się można!...

— A wściekaj się, wściekaj! Dużo ci to te-raz pomoże, kiedyś wszystko przełufarzyła... Z teatru cię przegnali, kochanek cię *kaniem* puścił!...

— Dosyć!...

— Co ty mi wrzeszczysz: dosyć! — oburzyła się Łączkowa — gębę małce chcesz zamknąć — w moim własnym domu!... Wiem, żeś nierada słuchać prawdy, ale ja wypowiedzieć muszę, co mam na sercu...

— Matka mnie do czego najgorszego dopro-wadzi!... — jęknęła Stefa.

— Co ci się też jeszcze gorszego przydarzyć może? Jak się ty teraz między porządnymi ludź-mi pokażesz?... Cały dom śmieje się z ciebie i ze mnie!... Palcami nas wytykają!...

— Dużo sobie robię z tej hołoty!...

— Hołota nie hołota, ale dokuczają!... A naj-gorsza ta Michalczykowa!... Pyszni się teraz, na-dyma, że to tę swoją zezowatą Polkę wydała za męż!...

— Za kominiarza!...

— Majster kominiarski — to fach dobry, zaro-bek pewny!... A z tobą kto się teraz ożeni!... Że byś się to była biura i uczciwej pracy trzymała!... Twoje koleżanki biurowe wszystkie za męż wychodzą!... Ta tłusta Mania zaręczyła się z jakimś kolejarzem, Kuźmiczówna — takie to ni z pierza ni z mięsa, małe, chude, czarne i biedne jak mysz kościelna — wychodzi za męż, za pana Króleckiego.

Stefa syknęła jakby oparzona:

— Jeszcze nie wyszła!... a choćby nawet, to on ją będzie zdradzał — tę brzydulę!... to chuchro!...

— To i co? a czy to który chłop wierzy, choćby i najurodziwszą miał?! Ale zawsze co ślubna żona, to ślubna!... Z ładnymi się pobawi, a do swojej w końcu wróci!... Doświadczyłaś na sobie, że i najładniejszej nie równać się ze ślubną żoną!...

— Przestańże matka już raz!...

Ale Łączkowej ani się śniło zaprzestać.

— A mówiłam: idź za Woźniewidza, dobry chłopiec, porządny chłopiec, z pańskiej *famili*, delikatny i patrzy w ciebie, jak w obraz święty!... Ale ty!...

— Woźniewicz? — zawołała, uderzona nową myślą — patrzcie państwo, zapomniałam o nim na śmierć!...

— Zapomniał i on o tobie! — westchnęła matka.

— O! co to — to nie!... — zaprotestowała z nie-słychaną pewnością.

— Jakże nie!... kiedy pojutrze jego ślub z tą Kazią, coś ty jej tak znosić nie mogła!... W do-mu dzieciaków pełno, bieda aż piszczy, ojciec pijak — dziewczyna do trzydziestki mało co, albo i nic nie braknie!...

Stefa zeskoczyła z kanapy. Oczy jej błyszczały jak kotowi, który się czał na mysz.

— Ta nadęta purchawka!... On się z nią nie ożeni!...

— Mówię ci, że pojutrze ślub!... wszystko do-wesela przygotowane!...

(Ciąg Dalszy Nastąpi).